

O CÓRKACH SMOKA

William Andrews z niemal zapomnianego faktu historycznego stworzył wspaniałą powieść, pełną niesamowitych wydarzeń, które spaja postać głównej bohaterki Jae-hee... Czytelnik, szukający trzymającej w napięciu opowieści z tłem historycznym, silnymi charakterami oraz wiarygodnymi i wciągającymi dialogami, znajdzie tutaj wszystko, czego potrzebuje. Historia o ludzkiej godności, zbrodniach i ścieżkach do odzyskania siebie, wypełniona brutalnymi scenami, odkrywaniem tajemnic, walką o przetrwanie i obrazami traumy, pozostawia niezatarte wrażenie. Wielka szkoda, że owe fakty z przeszłości nie zostały dotąd dokładnie zbadane. To odkrycie, które jak najbardziej zasługuje na uwagę. Wspaniale, że Andrews postanowił zbadać temat i nagłośnić go właśnie teraz w postaci odpowiedniej nie tylko dla pasjonatów historii i naukowców.

D. Donovan, *Midwest Book Review*

Córki smoka to inspirująca i głęboka opowieść o byłej niewolnicy seksualnej (tak zwanej „kobiecie do towarzystwa”). Ukazuje jej życie, cierpienia, walkę o przetrwanie i ostateczne zwycięstwo. William Andrews stworzył powieść upamiętniającą dwieście tysięcy niewolnic seksualnych Cesarskiej Armii Japonii w trakcie II wojny światowej i wydobywa cierpienia tych kobiet na światło dzienne. Jako autor Rezolucji nr 121 Kongresu USA, w której wezwano rząd japoński do uznania i przeproszenia za systemowe niewolnictwo młodych kobiet na terenach całej Azji i w rejonie Pacyfiku oraz jako człowiek, który poświęcił swoje życie naświetlaniu tych wydarzeń, jestem głęboko przekonany, że wspomnienie okrucieństw należy zachować w świadomości społecznej, a także nauczać o nich, aby podobne zbrodnie nigdy nie powtórzyły się w przyszłości. Niech dusze tysięcy młodych kobiet, którym odebrano młodość i godność, odnajdą spokój, wiedząc, że ich tragiczna historia żyje w każdym z nas.

Mike Honda, były członek Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych

Ta powieść to fikcja literacka. Imiona, postaci, organizacje, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autora lub posłużyły do stworzenia fikcyjnych wydarzeń.

Tytuł oryginału
Daughters of the Dragon
Copyright © 2014, 2016 by William Andrews
All rights reserved
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2018
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Tłumaczenie:
Dominika Warda
Redakcja:
Anna Wasińska
Korekta:
Dariusz Marszałek
Konsultacja merytoryczna:
Patrycja Duc-Harada
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Przygotowanie okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-7889-601-2

WILLIAM ANDREWS

**CÓRKI
SMOKA**

HISTORIA KOBIETY DO TOWARZYSTWA

OŚWIĘCIM 2018

*Wszystkim kobietom, które zmuszono,
aby zostały kobietami do towarzystwa*



J E D E N

Moje imię jest palindromem. Gdy miałam humory, mama, kiedy jeszcze żyła, zwykła mówić:

– Widzę, że dzisiaj mamy odwrotną Annę. Mam nadzieję, że prawdziwa wkrótce wróci.

Często pisałam swoje imię z dużym „A” na końcu, a gdy ktoś zwracał mi uwagę, że jest napisane odwrotnie, mówiłam:

– Nieprawda. Przecież to palindrom.

Lubiłam naśmiewać się z tego, jak brzmiały wymawiane od tyłu imiona innych ludzi. W końcu moje się nie zmieniło. Mama to była Nasus, a tata – Htennek, chociaż wszyscy mówili na niego Ken. Mój pies wabił się Ydnas, natomiast nazwisko naszej rodziny wypowiadaliśmy: Noslrac. Podziwiałam tatę za to, że wszystkie imiona i nazwiska potrafił przekształcić bez zapisywania. Podawałam mu jakieś, a on natychmiast mówił, jak brzmi od tyłu. Nawet zwrot „ciotka Elizabeth” nie sprawiał mu trudności.

– Htebazile aktoic – odpowiadał bez chwili wahania.

Urodziłam się dwadzieścia lat temu w Korei. Htennek i Nasusa adoptowali mnie, gdy miałam pięć miesięcy. Uważałam ich za swoich rodziców. Jednak ludzie bez przerwy przypominali mi o tym, że nie jestem ich prawdziwą córką. Nie byłam do nich podobna. Nie miałam kręconych kasztanowych włosów jak mama ani nordyckich niebieskich oczu taty. W dodatku różniliśmy się charakterami. Mama była wybuchowa i impulsywna, tata zawsze zachowywał

typowy dla Skandynawów niewzruszony spokój, a ja tkwiłam gdzieś pomiędzy.

Często ludzie spoglądali na nas i zadawali głupie pytania albo wygłaszali bezsensowne komentarze. Doprowadzało to moją mamę do szału. Najczęściej jednak udawało się jej takie zachowania ignorować. Później narzekała tylko na „nieczułych i głupich ludzi”. Jednak pewnego razu w restauracji kelner stwierdził, że jestem wyborną chińszczyzną na wynos. Mama się wściekła i urządziła scenę na środku lokalu. Wykrzyczała mu prosto w twarz, że jest pozbawionym wrażliwości palantem. Było mi strasznie głupio. Ten człowiek nie miał złych intencji, chociaż rzeczywiście jego słowa nie zabrzmiały zbyt fortunnie.

Mimo wszystko nie przywiązywałam w dzieciństwie wagi do faktu, że zostałam adoptowana, i nie myślałam za bardzo o biologicznej matce. Większość ludzi sądzi, że przybrane dzieci odczuwają potrzebę dotarcia do swoich korzeni, aby zrozumieć, kim tak naprawdę są. Większość też myśli, że danie na wynos to coś zupełnie innego niż potrawa domowej roboty. A my jesteśmy tacy sami jak wszyscy. Dla mnie biologiczni rodzice zawsze byli tylko dawcami genów. Natomiast *prawdziwi* to ci, którzy mnie wychowali, byli przy mnie, gdy ich potrzebowałam, i którzy *chcieli* być moją rodziną. Nie miałam również powodu, żeby interesować się kobietą, która mnie urodziła. Moje życie było wspaniałe: cudowni rodzice, studia na Northwestern, Chad Jenkins i jego uroczy uśmiech. Moja koreańska matka była miliony kilometrów ode mnie, zajęta opieką nad dziećmi, które postanowiła zatrzymać. Zwyczajnie mnie to nie obchodziło.

Jednak wszystko uległo zmianie, gdy mama odeszła. Tata był zdruzgotany. Rzuciłam Northwestern i wróciłam do domu. Ojciec namawiał mnie, żebym uczyła się dalej,

ale ja nie widziałam w tym sensu. Straciłam zapach. Zbliżałam się do końca studiów pierwszego stopnia i nadal nie miałam pojęcia, co chcę dalej robić. Śmierć mamy mną wstrząsnęła. Pierwszy raz w życiu poczułam się zagubiona i zaczęłam się bać, że skończę jak ci wszyscy młodzi ludzie, którzy wylądowali w pracy bez perspektyw i mieszkają w piwnicach domów rodziców. Wtedy i mnie bogate dzieciaki z Northwestern nazywałyby niedorajdą.

W domu było zupełnie inaczej niż kiedyś. Nie chodziło jedynie o smutek, przeżywaliśmy tragedię. Tata całe dni przesiadywał w salonie z zasłoniętymi oknami i zgaszonym światłem. Kiedy wracałam ze sklepu albo z treningu, pytał tylko, co u mnie, nie wychylając się z ciemności pokoju. Opierałam się o drzwi kuchni i ucinaliśmy sobie krępującą pogawędkę o niczym. Potem tata robił obiad w fartuchu do grilla, który dostał kiedyś od mamy na święta. Mijając sypialnię rodziców, przyłapywałam się na nadziei zobaczenia w środku mamy, układającej włosy lub szykującej się na wieczorne wyjście. Czasami odnosiłam wrażenie, że czuję zapach jej perfum. Aż pewnego dnia do mnie dotarło: muszę pogodzić się z faktem, że jej już nie ma.

Ale tamta kobieta wciąż żyła. W Korei, miliony kilometrów ode mnie, wychowywała potomstwo, które zdecydowała się zatrzymać.

Adoptowane dzieci nazywają swoich dawców genów „biologicznymi rodzicami”, a nie „naturalnymi” albo – co gorsza – „prawdziwymi”, by nie sugerować, że rodzice adopcyjni są w jakimś sensie nienaturalni czy nieprawdziwi. W miarę jak dorastałam, ludzie zaczęli mi tłumaczyć, że biologiczna matka podjęła decyzję o adopcji z miłości do mnie. Właśnie dlatego mówimy „decyzja o adopcji” zamiast „oddać do adopcji”.

Kto wie? Może coś w tym jest? Jednak, szczerze mówiąc, mnie to nie przekonało. Dlatego postanowiłam pojechać do Korei – by poznać biologiczną matkę.

W ten sposób trafiłam do poczekalni sierocińca w samym środku Seulu, gdzie właśnie czekam, by się z nią spotkać. Gdy miałam trzy dni, przywieziono mnie tu ze szpitala. Budynek położony jest w zapuszczonej części miasta, którą jakimś cudem udało nam się omijać przez pierwsze dziesięć dni naszego wyjazdu. Pilnie potrzebuje remontu. Sprawił na mnie bardzo przygnębiające wrażenie. Farba na ścianach ma odcień szarej zieleni. Każdy szmer powoduje głośne echo. Meble są obszarpane i do niczego nie pasują. Pachnie stęchlizną.

Siedzę w poczekalni razem z piętnastoma innymi amerykańskimi rodzinami, które adoptowały dzieci z Korei. Wszyscy odbyli już swoje spotkania i od godziny czekają tylko na mnie, aby móc się wreszcie wydostać z tego okropnego miejsca. Jestem ostatnia, a beze mnie nie mogą wyjść. Niecierpliwia się więc coraz bardziej.

Tuż obok usadowiła się rodzina Smithów z uzależnionymi od cukru bliźniaczkami – Elszą i Elizabeth, które biegają w te i z powrotem po korytarzu. Pan Dahl przycupnął na ławce razem ze swoją trzydziestoletnią, urodzoną w Korei córką. Kobieta zanosi się z byle powodu płaczem, więc w torebce trzyma wielkie opakowanie chusteczek. Max Klein gra w jakąś bezsensowną grę na telefonie, która pochłania go od początku wyjazdu. Katherine Austin siedzi oparta na krześle, z wyprostowanymi plecami, ściśniętymi kolanami i dłońmi na udach. Ma tyle lat co ja i jest napięta jak struna fortepianu. Za nią stoją jej nieszczęśni rodzice, którzy zupełnie nie wiedzą, jak jej pomóc. Wszyscy co jakiś czas na mnie spoglądają, jakby to była wyłącznie moja wina, że muszą tu

jeszcze siedzieć. Sama się zastanawiam, dlaczego to tak długo trwa, pragnąc, żeby było już po wszystkim.

Na kolanach mam album ze zdjęciami dla mojej matki. Przygotowanie go zajęło mi mnóstwo czasu. Zebrałam wszystkie ważniejsze momenty w moim życiu uwiecznione na fotografiach: od tej, na której widać mój przylot z Korei oraz mnóstwo rodziny i znajomych, czekających, aby mnie przywitać przy bramce nr 33 portu lotniczego Minneapolis-Saint Paul, aż do zdjęcia z mamą w szpitalu dzień przed jej śmiercią. Wygląda na nim strasznie, ale musiałam je dołączyć. W końcu to moja ostatnia pamiątka po niej. Do każdej fotografii dodałam opis. Pisałam ręcznie, pismem kaligraficznym.

Album jest naprawdę idealny. Musi być. Jeśli moja biologiczna matka naprawdę podjęła decyzję o adopcji z miłości do mnie, to chcę jej pokazać, że wszystko mi się ułożyło i że postąpiła słusznie. A gdyby okazało się, że oddała mnie, bo byłam dla niej tylko ciężarem, wówczas mam zamiar jej uświadomić, że popełniła wielki błąd. Przecież mogę nawet kiedyś skończyć studia. Pragnę, by wiedziała, że jej mały ciężar dorósł i doskonale sobie bez niej radzi. Wiem, trochę przesadzam, ale i tak jej przecież o tym nie powiem.

Jest mi coraz bardziej niedobrze. Spojrzenia zniecierpliwionych rodzin doprowadzają mnie do rozpacz. Tata proponuje, by zapytać kogoś, dlaczego to wszystko tyle trwa, ale wtedy wywołuje nas pracownica amerykańskiej opieki społecznej – tęga kobieta o prostych siwych włosach. Z jej oficjalnego surowego uśmiechu wnioskuję, że nie czeka mnie nic przyjemnego. Biorę album i podążamy za nią do małego, źle oświetlonego pomieszczenia, gdzie zajmujemy miejsca przy chwiejącym się stole.

Urzędniczka kręci głową. Już się nie uśmiecha.

– Bardzo mi przykro, że muszę to pani powiedzieć. Spotkanie z pani matką nie będzie możliwe, ponieważ ona... nie żyje.

Przez chwilę patrzę na kobietę nieprzytomnym wzrokiem. Może się przesłyszałam?

– Nie żyje? – wykrztuszam wreszcie.

– Obawiam się, że tak. – Kiwa głową. – Bardzo mi przykro.

Kiedy ta wspaniała wiadomość w końcu do mnie dociera, udaje mi się zebrać myśli, by spytać, w jaki sposób moja matka zmarła. Pracownica urzędu odpowiada, że dwadzieścia lat temu podczas porodu. *Mojego porodu*. No po prostu znakomicie. Co zatem z biologicznym ojcem?

Kobieta otwiera szarą teczkę i zaczyna przeglądać jej zawartość. Po chwili oznajmia, że moja matka w chwili porodu nie była zamężna i nie wiedzą, kto nim jest. Dopytuję o rodzeństwo. Tego też nie wiedzą. Rozmówczyni twierdzi, że zdobycie takich informacji było niemożliwe ze względu na okoliczności adopcji.

Pięknie. Mój ściśnięty żołądek zawiązał się w supeł. Ogarnia mnie przejmujące, lecz niezrozumiałe poczucie winy: zupełnie jak wtedy, gdy zmarła mama. Mam ochotę nawrzeszczeć na tę kobietę. Patrzę jednak tylko na swój album i muskam palcami napis „Moje życie”.

– Jak to się stało? – pyta ojciec, próbując najwyraźniej jakoś pomóc. – Dlaczego nas nie uprzedzono, zanim tu przyjechaliśmy?

– Panie Carlson, sierociniec ma straszne problemy z funduszami – odpowiada urzędniczka. – Ma też za mało pracowników, więc nie zawsze są w stanie wszystko sprawdzić.

– Anna czekała na to spotkanie od miesiący – zauważa tata.

Kobieta porusza głową, jakby nie mogła się zdecydować, czy nią pokreć czy pokiwać.

– Rozumiem. My też nic nie wiedzieliśmy. Przykro mi.

Tata spogląda na mnie niepewnie.

– Chyba powinienem porozmawiać z dyrektorem tego ośrodka.

Chcę się stąd wydostać, zanim wszystko wymknie się spod kontroli.

– Chodźmy już – mówię.

Chwytam album i wybiegam z pomieszczenia.

Biegnę środkiem poczekalni w stronę wyjścia. Nawet bliźniaczki Smithów zamierają na mój widok. Pani Dahl chwyta za swoje chusteczki. Max spogląda znad telefonu, a Katherine odwraca ku mnie głowę i zaczyna mi się uważnie przyglądać. Wszyscy są ciekawi, co się stało, dlaczego tak długo odwlekano moje spotkanie i czemu trwało tylko kilka minut. Nie chcę na nich patrzeć. To nie ich sprawa. Przyciskam do siebie album i dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że skoro nadal go mam, od razu wiadomo, że nie spotkałam się z matką. Podchodzę do stojącego w kącie kosa na śmieci, zamierzając pozbyć się „dowodu”, ale nie daję rady. Zbyt dużo czasu mu poświęciłam.

Wychodzę na zewnątrz. W gorącu i duchocie nie potrafię złapać oddechu, do tego oślepia mnie słońce. Obok stoi nasz autobus. Spaliny tylko pogarszają sytuację. Odwracam się i zamykam oczy. Nie mogę uwierzyć w to, czego się dowiedziałam. Co za koszmar. Czuję się jak idiotka. Nie powinnam była tu przyjeżdżać.

Po kilku minutach ruszam w stronę autokaru. Naprzeciwko mnie staje nagle staruszka z siwymi włosami zaple-

cionymi u góry głowy. Wciska mi do ręki niewielkie zawiniątko i szepce:

– To dla ciebie. Nikomu tego nie pokazuj. Musisz koniecznie wysłuchać mojej historii, żeby zrozumieć, co ten przedmiot oznacza. W środku jest adres. Przyjdź sama.

Zerkam na paczuszkę, a potem na kobietę, która w pośpiechu się oddała.

– Niech pani zaczeka! – wołam.

Ale ona zniknęła już za drzwiami sierocińca.

Spoglądam na tajemnicze zawiniątko jeszcze raz. Jest nieco większe od portfela, obwinięto go wypłowiałą ciemnobrązową tkaniną i związane sznurkiem. Zdążam tylko za niego pociągnąć, bo w drzwiach domu dziecka pojawia się tata, który nerwowo szuka mnie wzrokiem. Za nim wyłaniają się spieszące ku autokarowi rodziny poznane w czasie podróży do Korei. Starają się na mnie nie patrzeć, ale zupełnie im to nie wychodzi. Tata kładzie mi dłoń na ramieniu i uśmiechem dodaje otuchy. Wkładam ukradkiem paczuszkę do torebki i ruszam wraz z ojcem do autobusu.

W drodze do hotelu myślę już tylko o mojej biologicznej matce. Tak bardzo chciałam z nią porozmawiać, poznać ją. Przekonać się, jak będę wyglądała za trzydzieści lat. Ale przynajmniej już coś wiem na temat decyzji o adopcji. Otóż żadnej nie było – ani z miłości, ani dla wygody. Trafiłam do sierocińca, ponieważ zabiłam matkę. Cudownie.

Przyglądam się przez okno miastu. Są godziny szczytu i wszyscy spieszą do domów. Zaczynam wyobrażać sobie, jak ułożyłoby mi się życie, gdyby moja biologiczna matka nie umarła. Byłabym jedną z nich – „domowej roboty” Korkanką, a nie „chińszczyzną na wynos”. Mówiłabym ich językiem, słuchałabym tej samej muzyki, myślałabym jak oni.

Może nie ciążyłaby na mnie klątwa.



DWA

Autobus wjeżdża w ruchliwą dzielnicę Myeong-dong. Tu mieszkamy. Tata odchyła do tyłu głowę i przymyka oczy. Robi mi się go żal, bo uświadamiam sobie, że przecież i on to wszystko mocno przeżywa. Od śmierci mamy stara się zawsze mnie wspierać, być ojcem i matką jednocześnie. Każdego dnia pyta, czy wszystko u mnie dobrze. Niezmiennie odpowiadam, że tak. Kogo chcę oszukać? Przecież to ja uparłam się na ten wyjazd, aby dotrzeć do swoich korzeni. To ja bardzo chciałam poznać biologiczną matkę, co na pewno go zabolalo, ale nigdy tego nie przyznał.

Nagle przypomina mi się paczuszka i kobieta, od której ją dostałam. *Nikommu tego nie pokazuj. Musisz koniecznie wysłuchać mojej historii.* Tak jakby brakowało mi wrażeń. Sięgam do torebki, wyciągam zawiniątko i odwijam materiał. W środku znajduje się kartka papieru z adresem napisanym pięknym pochyłym pismem. Ściągam jeszcze jedną warstwę tkaniny i widzę grzebień wielkości drobnej ludzkiej dłoni, ozdobiony mozaiką w kształcie smoka. Jest łagodnie wygięty i ma bardzo delikatne ząbki. Wykonano go z ciemnozielonej skorupy żółwia. Smok, zrobiony z czegoś, co przypomina kość słoniową, znajduje się na rączce. Grzbiet udekorowano złotem. Grzebień wygląda na lekki, ale waży całkiem sporo.

Ciekawi mnie, dlaczego staruszka postanowiła mi go podarować, lecz szybko przestaję o tym myśleć. Po dzi-

siejszych wydarzeniach nie mam już sił, żeby to analizować. Zanim jednak schowam grzebień, zerkam na niego jeszcze raz. Jest piękny i błyszczący. Smok ma dwie głowy z zakręconymi językami i ostre pazury, które wydają się po mnie sięgać. Przesuwam palcami po złotym grzbiecie ze świadomością, że nigdy nie trzymałam w ręku czegoś tak cennego. Nagle, nie wiadomo dlaczego, czuję w sobie niewiarygodną siłę.

Rozglądam się wokół, by mieć pewność, że nikt mnie nie obserwuje. Wszyscy pasażerowie wyglądają przez okna, patrząc na ulice i budynki, lub rozmawiają przyciszonymi głosami. Nawet bliźniaczki się uspokoiły. Pośpiesznie zawijam grzebień w tkaninę i chowam w torebce.

Po chwili docieramy do hotelu Sejong, który znajduje się w samym środku dzielnicy finansowej Seulu. Ruszamy ociężale w stronę wejścia i zdobionego szkłem oraz marmurem lobby. Wtedy podchodzi do nas doktor Kim, przewodnik. Chce porozmawiać ze mną na osobności, a ja marzę tylko o tym, żeby wrócić do pokoju i wreszcie trochę popłakać. Lecz ten niski, energiczny człowiek zawsze był niezwykle miły i bardzo nam pomagał, poza tym może wiedzieć coś o mojej biologicznej matce, mówię więc tacie, że za chwilę wrócę i podążam za doktorem Kimem na koniec korytarza. Oświadcza, że w autobusie widział, jak się czemuś przyglądałam.

– To coś cennego – stwierdza z przekonaniem.

Chce wiedzieć, co to było. Wyjaśniam, że nic specjalnego, ale moja odpowiedź najwyraźniej mu nie wystarcza.

– Jeśli coś pani dostała, my musimy o tym wiedzieć. Takie są przepisy. Musimy zgłaszać wszystko, co otrzymają tutaj Amerykanie podczas organizowanych przez nas wyjazdów.

– To tylko grzebień – odpowiadam.

Spogląda na mnie z politowaniem, jakbym była dzieckiem.

– Wywożenie rodzinnych pamiątek z kraju jest surowo zabronione, rozumie pani? – informuje z naciskiem. – A jeśli to tylko grzebień, nie powinno pani przeszkadzać, że go obejrzę.

Zabronione? Nie chcę kłopotów, więc pokazuję mu podarunek od starej kobiety. Pochyliła się nad nim i uważnie ogląda, a po chwili wytrzeszcza oczy, poprawiając okulary o grubych szklach.

– To jest wyjątkowa rzecz – szepce. – Powinienem ją zabrać i przekazać odpowiednim ludziom.

– Odpowiednim ludziom?

– Nie może pani tego zatrzymać. – Kręci powoli głową.

– Dlaczego? – dopytuję.

Nie odpowiada. Zamiast tego powtarza, że powinnam oddać mu grzebień.

– To bardzo poważna sprawa – dodaje. – Powinna pani postąpić właściwie i mi go dać, a ja zajmę się resztą.

Mało brakowało, a tak bym zrobiła. Jednak według starszki jej prezent ma jakieś większe znaczenie. Może być ważny też dla mnie. Reakcja doktora Kima sprawiła, że nagle nabrałam ochoty, aby się tego dowiedzieć. Owijam znowu grzebień materiałem i chowam do torebki, oznajmiając przewodnikowi, że nie chcę łamać prawa, ale wolałabym najpierw pokazać grzebień tacie. Zmuszam się do uśmiechu.

Przechodzę przez lobby i wciskam guzik windy. Kiedy drzwi się otwierają, sprawdzam, czy doktor Kim dalej stoi w tym samym miejscu. Jest tuż za mną.

– Niech mi pani wierzy – mówi, patrząc mi prosto w oczy – wolałaby go pani nie mieć.

Po chwili znika za zamykającymi się drzwiami windy.



Nasz pokój jest mały, lecz nowoczesny, z drewnianymi meblami pomalowanymi na jasny kolor. Kiedy wchodzę do środka, tata leży na łóżku. Z rękoma splecionymi na brzuchu wygląda zupełnie tak, jakby leżał w trumnie. Rzucam plecak i torebkę na stół. Zerkam w lustro. Widzę w nim kobietę o azjatyckich rysach. Przede mną stoi „odwrotna” Anna, o której prawie nic nie wiem. Właściwie jest całkiem ładna. Ma czarne włosy, gładką skórę i smukłą, zgrabną sylwetkę. Nie znam jej, chociaż bardzo bym chciała.

Tata pyta, o czym rozmawiałam z doktorem Kimem. Kobieta z lustra odpowiada, że chciał zobaczyć przedmiot, który dostała przed sierocińcem.

– Ktoś ci coś dał?

– Tak. Po naszym nieudanym spotkaniu.

Podnosi głowę z poduszki.

– Mogę zobaczyć?

Odwracam się od lustra, żeby pokazać mu grzebień. Tata wstaje z łóżka, żeby go obejrzeć.

– Mój Boże – szepce – jest niesamowity.

– Kobieta, od której go dostałam, dała mi swój adres i nalegała, żebym przyszła wysłuchać jej historii.

Podaję mu kartkę. Czyta i kręci głową.

– Podejrzana sprawa, Anno. Seul to wielkie miasto, a ty nawet nie wiesz, kim jest ta kobieta. Jak wyglądała?

– Była starsza, ale... Nie mam pojęcia. Nie przyglądałam się jej.

– Co na to doktor Kim?

Zabieram mu kartkę i zawijam grzebień w materiał.

– Powiedział, że powinnam mu go oddać, a on dopilnuje, żeby trafił do odpowiednich ludzi. Cokolwiek to znaczy.

– Więc może tak właśnie zrób.

– Może, ale chcę się najpierw czegoś o nim dowiedzieć. Pójdę porozmawiać z tą kobietą.

– Kiedy? – pyta niespokojnie. – Jutro wyjeżdżamy.

– Dopiero o dziewiętnastej.

– Tak, ale autobus na lotnisko odjeżdża o szesnastej trzydzieści. Rano idziemy do Itaewon na zakupy. Muszę odebrać mój garnitur.

– A ja chciałam kupić ten dzbanek z celadonu – mówię. – Ale nie szkodzi. Wolę odwiedzić tę kobietę.

Tata chwilę się zastanawia.

– To może pojedę z tobą?

– Miałam tam przyjść sama – odpowiadam.

Wzdycha ciężko i z rezygnacją opada na łóżko. Wygląda na wyczerpanego, zupełnie jak wtedy, gdy zmarła mama. Siadam przy nim i obiecuję, że będę ostrożna.

Kiwa głową. Obejmuję go, a potem idę do łazienki, by przygotowywać się do kolacji.



Wieczorem, już w pokoju, tata w końcu zadaje pytanie, czy chcę porozmawiać o mojej biologicznej matce. Oczywiście, że chcę. Chętnie porozmawiałabym o wielu sprawach. Marzę, żeby wszystko sobie z nim wyjaśnić i zrzucić z sie-

bie ten cały ciężar. Ale z jakiegoś powodu odpowiadam, że nie mam ochoty. Wolę chyba odłożyć to na później. Tata wygląda, jakby poczuł się urażony, a jednocześnie mu ulżyło. W każdym razie szybko kładzie się do łóżka.

Serce mi pęka, gdy na niego patrzę. Miałam nadzieję, że wycieczka do Korei podniesie go na duchu, ale tak się nie stało. Od początku podróży właściwie się nie odzywa. Nie studiuje zawzięcie przewodników i nie wprawia mnie w zażenowanie ciągłymi pytaniami – tak jak wtedy, kiedy podróżowaliśmy z mamą. Chyba oboje bez przerwy o niej myślimy. Skakałaby z zachwyty, gdyby mogła tu z nami być.

Leżę w łóżku, wpatrując się w sufit i próbując przypomnieć sobie wszystkie miejsca, które odwiedziliśmy w Korei: pałace, muzea i zdemilitaryzowaną strefę między Koreą Południową a Północną. Do tego przychodzi mi na myśl wizyta w sierocińcu i ogromnie przygnębiająca wiadomość, że zabiłam swoją biologiczną matkę. Usiłuję wszystko złożyć w sensowną całość, ale nie jestem w stanie. Emocje z dzisiejszych zdarzeń są jeszcze zbyt świeże. Otulam się więc kołdrą i rozmyślając, co może mnie spotkać następnego dnia, zasypiam.



TRZY

W nocy miałam koszmary. Mama zawsze mówiła, że w snach ujawnia się prawdziwa natura człowieka, bo jest wtedy zbyt zmęczony, by udawać. Kiedy byłam mała, chciałam je zapamiętywać, ale zawsze mnie przerażały, sprawiając, że zaczynałam się bać samej siebie. Dlatego teraz nie zamierzam o nich myśleć. Jestem strasznie zmęczona i czuję, że to jeden z tych dni, podczas których wszystko sprawia mi trudność. Naciągam kołdrę na głowę, marząc o pozostaniu w łóżku. Wtedy przypominam sobie grzebień z dwugłowym smokiem i nagle chęć odwiedzenia tajemnicznej kobiety powraca. Natychmiast się podnoszę.

Wyjazd do Itaewon zaplanowano na dziewiątą trzydzieści. Tata jest już prawie gotowy i goli się przed lustrem.

– Dzień dobry, tato! – wołam.

Mamrocze coś w odpowiedzi. Mam nadzieję, że mi pomoże. Gdy wychodzi z łazienki, od razu oświadczam, że chcę się spotkać z tajemniczą kobietą i poznać historię grzebienia. Proszę, by powiedział doktorowi Kimowi, że źle się czuję, więc nie mogę pojechać do Itaewon.

– Jesteś pewna? – pyta, zakładając koszulę. – Może oddaj grzebień doktorowi Kimowi i jedź z nami.

– Tato, naprawdę – odpowiadam tonem, który ma mu przypomnieć, że nie jestem już dzieckiem.

Po ciężkim westchnieniu godzi się na mój plan.

– Obiecay, że będziesz uważać – dodaje.

Zapewniam, że nie ma się czym martwić i że gdy wróci z Itaewon, będę już na niego czekać. W odpowiedzi wyjmuję z portfela dwieście dolarów i podaje mi je ze smutnym uśmiechem, po czym opuszcza pokój.



Wymykam się z hotelu kilka minut po wyjeździe wycieczki i wsiadam do jednej z małych białych taksówek. Widać je w Seulu dosłownie wszędzie. Podaję kierowcy adres.

– Pani pewna? – pyta.

Sądząc po mnóstwie iksów w nazwisku, które widnieją na jego identyfikatorze, musi być Chińczykiem. Jest chorośliwie chudy. Nad uszami zwisają mu cienkie włosy. Czytam adres jeszcze raz.

– Dobrzy – odpowiada. – Czydzieszci dolary, Emerikan-ka. Albo czydzieszci pięć tysiące koreańskie wony.

Chyba zażądał za dużo, ale jest mi wszystko jedno, więc się zgadzam. Ruszamy główną ulicą, kierując się na południe, w stronę rzeki Han. Nad miastem wisi brązowa mgła. Zanosi się na kolejny duszny dzień. Jedziemy przez dzielnicę finansową Seulu, mijamy więc ogromne galerie handlowe – Kosney oraz Hyundai – i dziesiątki luksusowych butików, takich jak Bulgari, Gucci czy Jimmy Choo. Pomiędzy nimi jest mnóstwo mniejszych sklepów z neonowymi napisami w hangulu¹, języku angielskim, japońskim, chińskim i w jeszcze kilku innych, których nie potrafię rozpoznać. Komercyjne kawiarnie przeplatają się z ekskluzywnymi restauracjami. Uliczni handlarze próbują wcisnąć

¹ Hangul – koreański alfabet (przyp. red.).

przechodniom swoje towary. Ludzie tłoczą się na chodnikach, a ulice są zapchane samochodami. Przejeżdżamy mostem Mapo przez rzekę Han. Z każdej strony wychylają się ponure jak żołnierze na warcie wieżowce.

Zostawiamy za sobą następny most i skręcamy w kolejną dzielnicę pełną sklepów. Taksówkarz jedzie najdłuższą trasą, żeby uzasadnić horrendalnie wysoką cenę przejazdu. Nie protestuję. Czuję się lepiej i ta przejażdżka całkiem mi się podoba. Gdy otwieram okno, do samochodu wdzie-
ra się mnóstwo zapachów – taniego jedzenia, spalin i pyłu. Wszędzie widzę neony i znaki w handgulu, ludzi ubranych w barwne stroje, wszędzie samochody, taksówki z niebieskimi oznaczeniami i hałasujące ciężarówki. W okolicy znajdują się głównie bloki mieszkalne. Słyszę klaksony, ryk silników i krzyki handlarzy. Wokół promieniuje niesamowita energia.

Czuję ducha Korei. Zrozumiałam, gdzie się kryje, dopiero po uwolnieniu się od wycieczki. Nie odnalazłam go w pałacach, muzeach czy atrakcjach turystycznych. Jest na ulicy.

W tym kraju się urodziłam. Mam takie samo DNA jak ci ludzie. Mogę wreszcie poznać prawdę o sobie.

Do tego podarowano mi grzebień. Jestem już pewna, że okaże się dla mnie cenny. Jednak do tej pory nie obejrzałam go zbyt uważnie. Wyjmuję więc paczuszkę z torebki i zaczynam badać grzebień z każdej strony. Ciemna barwa skorupy żółwia pięknie kontrastuje z bielą kości słoniowej, z której wykonano smoka. Nie mogę przestać się zachwycać jego kształtem i elegancją. Złoty grzbiet jest doskonałym wykończeniem tego cuda. Zastanawiam się, jak to możliwe, że niepozorna staruszka mogła posiadać coś tak wspaniałego. I dlaczego chce mi to oddać?

– Czo tam ma?

Wzdrygam się i podnoszę wzrok, lekko przestraszona. Stoimy na światłach, a taksówkarz siedzi z ręką przerzuconą przez oparcie i wskazuje na grzebień.

– To... Cóż... Tylko prezent.

– Prezent? – dopytuje. – Żartuje? To poważne szpawa! Komu da?

– Nie, nie, to ja dostałam od kogoś.

Szybko wsuwam zawiniątko do kieszeni. Kierowca uśmiecha się szeroko, pokazując zepsute zęby.

– Duża szczęście! To poważne szpawa! Poważne!

Jestem ciekawa, czy daleko jeszcze do celu podróży. Taksówkarz twierdzi, że niedługo będziemy na miejscu, i odwraca się w stronę kierownicy. Po chwili światła się zmieniają i jedziemy dalej. Wkrótce intensywne kolory zastępuje wszechobecna szarość. Okolica wygląda na seulskie getto, wszędzie jest brudno. Zrobiło się pusto i dostrzegam coś, czego do tej pory w tym kraju nie widziałam: śmieci na ulicy. Zamykam okno i zapadam się w siedzenie. Skręcamy w wąską uliczkę, przy której stoją nędzne budynki. Zatrzymujemy się przy krawężniku, a taksówkarz oświadcza, że to tutaj.

Paskudny ośmiopiętrowy wieżowiec upstrzony jest zardzewiałymi klimatyzatorami. W jednym z okien jakaś kobieta bezmyślnie patrzy przed siebie. Po chodniku człapie staruszek. Nad rozpadającym się wejściem widać napis w hangulu i numer 315. Pytam, czy to dobry adres. Kierowca zapewnia, że tak.

– Chcze, żeby czeka? – Patrzy z ciekawością.

Rozglądam się wokół i dociera do mnie, że jeśli nie zaczeka, to będę musiała przejść przez tę odrażającą okolicę na piechotę w poszukiwaniu innej taksówki.

– Tak, niech pan poczeka – odpowiadam.

– Ja czeka – oznajmia, wyłączając silnik. – Piętnaszcze dolary, Emerikanka, każda piętnaszcze minut. Czydzieszi pięcz za teraz.

Daję mu pieniądze. Wsiadam z auta, uprzedzając, że nie wiem, ile czasu mi tu zejdzie. Odpowiada, że poczeka tyle, ile będzie trzeba.

– Piętnaszcze dolary, Emerikanka, każda piętnaszcze minut – powtarza dobitnie.

Wchodzę do wieżowca. Domofon odpada od ściany. Wyjmuję z kieszeni kartkę i sprawdzam numer mieszkania: 627. Chwilę przyglądam się rzędom przycisków, zanim znajduję właściwy. Nie naciskam go.

Ogarnia mnie złe przeczucie. Tata miał rację, twierdząc, że to niebezpieczne. Zerkam w stronę taksówki. Kierowca uważnie mi się przygląda. Jak on to ujął? *Poważna sprawa*. Przesuwam palcem po grzebieniu. Przed oczami staje mi dwugłowy smok z kości słoniowej. Odwracam się do domofonu i biorę głęboki oddech. Wciskam guzik. Po chwili słyszę kobietę mówiącą coś po koreańsku.

Przedstawiam się. Zapada niezręczna cisza, podczas której zaczynam mieć wątpliwości, czy na pewno zadzwoniłam do właściwego mieszkania. W końcu kobieta odzywa się perfekcyjną angielszczyzną.

– Dzień dobry. Bardzo się cieszę, że przyszłaś.

Instruuje mnie, bym wjechała windą na szóste piętro. Mam szukać trzeciego mieszkania po lewej. Słyszę brzęczenie otwieranych drzwi i wchodzę na korytarz. Wnętrze jest ohydne. Lampy za mocno świecą, zbyt dokładnie eksponując poplamioną wykładzinę i pomazane ściany. Pod jedną z nich zauważam budkę telefoniczną z wystającym kablem w miejscu, w którym kiedyś był aparat. Wsiadam

do windy i jadę na szóste piętro. Po chwili słuchania niemiłosiernego trzeszczenia jestem na miejscu. Na końcu ciemnego korytarza odnajduję mieszkanie nr 627. Przetykam ślinę i pukam. Drzwi otwiera mi starsza kobieta.